

Wchodzi we *Wto-
rek, Czwartek i Sobó-
te*. We Lwowie prenu-
merata roczna 6 Zlr. —
półroczna 3 Zlr. — kwar-
talna 1 Zlr. 30 kr. —
miesięczna 30 kr. m. k.
W kraju z przesyłką po-
stowa rocznie 8 Zlr. —
półrocznie 4 Zlr. — kwar-
talnie 2 Zlr. m. k.

NOWINY

ogłoszenia wszelkiego
rodzaju przyjmują się za
opłatą od wiersza pię-
tem pety w przedzia-
ce za jednorazowe umie-
szczenie po 3 kr., za na-
stępno 1 1/2 kr. i za do-
płatą 10 k. stępl. za każ-
dorazowe umieszczenie.
Biuro ekspedycji w księ-
garni H. W. Kallenbacha

DWA ŚLUBY.

Powieść fantastyczna

przez

Józefa Korzeniowskiego.

(Dokończenie.)

Mieszkanko było malutkie, złożone z dwóch pokoików i kuchenki, ale tak czyste, tak wychuchane, że i miejsce się znalazło na każdy konieczny gracyk i pod czystością, porządkiem i symetrią nie widać było biedy i niedostatku.

— Niechże pan siądzie — rzekła przysuwając mu krzeselko, i niech pan daruje, że może trochę nieporządnie. Ale to dziś mój dzień roboczy, mam cztery godziny lekcji, od 8mej do 12tej, nie mogłam więc zająć się sprzątaniami pokoików, co zwykle robię.

Pan Włodzimierz odetchnął, jak gdyby wielki ciężar spadł z jego piersi. Nie zaawanturował się więc tak bardzo, kiedy znalazł tylko ubóstwo, ale przytem znalazł piękność, młodość, rozum w oczach, wdzięk w głosie, pracę, a nadewszystko obyczaj. To co widział i słyszał mówiło mu, że ostatnie jest jak najmniej problematycznym. Oprócz bowiem tego brata opiekuna, który go zabezpieczał, coś czystego i dziewiczego wiało z każdego kąta, gdzie wzrok swój zwrócił. Ośmielony więc tem przekonaniem do którego po chwili milczenia przyszedł, rzekł:

— Teraz pozwoli mi pani przystąpić do tego, co mówić miałem.

— I owszem, niech pan mówi — odpowiedziała patrząc mu w oczy.

— Najprzód ośmielam się zapytać panią, czy serce i ręka pani wolne.

— Czy ta spowiedź koniecznie do tej sprawy potrzebna? — zapytała czerwieniąc się.

— Bez otwartej i szczerzej odpowiedzi pani nie mógłbym mówić dalej — rzekł pan Włodzimierz z oczekiwaniem.

— Jeżeli tedy odpowiem panu otwarcie i szczerze, że wolne są... — rzekła z nieśmiałością.

— To będę prosić panią, abyś przyjęła moją i podzieliła się mojem życiem — mówił drżącym głosem i wyciągając do niej rękę.

— Mogłabym pana bardzo ukarać za to nierozważne oświadczenie — rzekła zasmucona po chwili namysłu — gdybym równie nierozważnie przyjęła, co mi pan ofiaru-

jesz. Ale nie uczynię tego, bo mi pana żal: a przyznam się panu, że i mnie szkoda. Moglibyśmy potem oboje płakać na ten pośpiech, któryby nas tak nagle związał.

— Jestem człowiek uczciwy, niezależny — rzekł pan Włodzimierz prędko, bojąc się nie tyle odmowy, jak własnego zreflektowania od zamiaru, który w duchu uznawał także nierozważnym i pośpiesznym. — Nie jestem bogatym, ale mam przyzwoite utrzymanie, które dla nas obojga aż nadto wystarczy. Nie jestem trudny w pożyciu, jestem wyrozumiałym, potrafię ocenić przynioły pani i serdeczną wdzięcznością zapłacić pani za pokój, jaki wniesiesz do mojego domu i przyjaźń, jaką ozdobisz moje życie.

— W głosie pana czuję, z wejrzenia pańskiego widzę, że to wszystko prawda, co pan mówisz — odpowiedziała patrząc nań łagodnie i jakby z politowaniem — ale wieszże pan jaką ja jestem?

— Jesteś pani ubogą, to widzę — odpowiedział łagodząc głosem przykreść tego słowa — ale widzę także, że jesteś piękną i musisz być dobrą, masz rozum i statek, lubisz pracę i porządek, potrzebaż mi więcej?

— Może ten obraz, jakiś pan skreślił, nie zupełnie nieprawdziwy — odpowiedziała rumieniąc się — oprócz piękności, która redukuje się do młodości i zdrowia. Ale ja mam wiele wad, i to takich, że się z nich poprawić nie zdołam, choćby panu były niemiłe. Lepiej więc żebyś pan o nich dowiedział się teraz.

— Przyjmuję panią ze wszystkimi wadami jakie masz — odpowiedział p. Włodzimierz z zajęciem i prawie z wyrazem przywiązania, gdyż w tonie, z jakim to mówiła, w pół poważnym, w pół żartobliwym, upatrzył jeszcze jedno podobieństwo do księżniczki Eleonory.

— Pamiętajże pan, żebyś nie żałował i nie wyrzucał mi nigdy, żem przed panem wady moje ukryć chciała, rzekła z uśmiechem i spojrzała na niego tak, iż widocznem było, iżby bardzo żałowała, gdyby ta osobliwsza ich rozmowa skończyła się na niczem.

— Więc mogę — rzekł p. Włodzimierz powstając i biorąc jej rękę — powrócić dziś wieczorem i bratu pani powtórzyć moją prośbę?

— Cóż mam robić? — odpowiedziała uśmiechając się i zostawiając rękę swą w jego dłoni — przyjdź pan, aby dla większej oryginalności poznanie i deklaracya odbyły się jednego dnia.

— Jednak, dodała z wesołością płynącą z gruntu u-

szczęśliwonego serca — potrzeba do tego jednej ważnej rzeczy, o której w tym pośpiechu zapomnieliśmy oboje.

— Jakież to? — zapytał pan Włodzimierz.

— Będę musiała brata mego uprzedzić o tem, co mi się zdarzyło — rzekła żartobliwie — on, jako finansista, człowiek zimny i akuratywny, zapyta mnie naturalnie: „któż jest ten pan, który tak ni ztąd ni z owąd postanowił sobie zrobić cię szczęśliwą? Cóż mu powiem?”

— A prawda, prawda — odpowiedział młody człowiek, ściskając jej rękę.

— Pan znowu, jak ztąd wyjdiesz — mówiła dalej — możesz spotkać którego ze swych przyjaciół, który pana zapyta coś tu robił. Pan odpowiesz, że w ogrodzie Saskim spotkałeś biedną dziewczynę, która z pękiem nót biegła do domu, po 4ro godzinnej pracy; żeś się na nią wypatrzył, jak gdyby była jakim widziadłem; żeś szedł za nią aż na Podwale, stanął przy jej drzwiach, i oświadczył jej, że masz z nią do pomówienia; że ona zawierzyła uczciwej twarzy pana i smutkowi, który był na pańskim czole i poprosiła pana na górę, że pan opisałeś jej siebie, i ją opisałeś przed nią samą mniej więcej prawdziwie i ofiarowałeś jej swoją rękę, którą ona przyjęła. Jako więc żenisz się? zapyta przyjaciel. Żenię się. A z kimże się żenisz? doda ten człowiek rozsądny. Cóż pan na to odpowiesz?

Pan Włodzimierz, który słuchał z jakimś dziwnym rozrzwieniem tego opowiadania, podniósł piękną jej rączkę do ust, ucałował i odpowiedział:

— Prawda, prawda, masz pani racya, że ten rozsądny człowiek zagadłby mię okrutnie. Powiedźże mi pani swoje imię.

— Mnie się zdaje — odpowiedziała — że i nazwisko potrzebne. Ja nazywam się Anna Z....

— Więc brat pani jest pan Antoni Z.... z ministerjum skarbu?

— Ten sam. Biedny kancelista, ale człowiek uczciwy i pracowity.

— Znam go dobrze. Służy w mojej sekcji. Jestem jego szefem.

— Pan jesteś jego szefem? — zawołała zadziwiona — więc pan jesteś p. Włodzimierz G...*

— Ten sam który panią powtórnie i tem śmieiej teraz prosi, abyś mu ręki swej nie odmówiła — rzekł pan Włodzimierz głosem wzruszonym.

Anna odstąpiła od niego parę kroków, położyła dłoń na czole, łza wzruszenia błysnęła w jej oku, a cicha modlitwa z oddaniem się woli Bożej zabrzmiała w jej sercu; potem podnosząc wdzięczny wzrok na pięknego młodzieńca, który patrzył na nią z zajęciem, przystąpiła bliżej, podała mu obie ręce i rzekła:

— Może tego Bóg chciał, kiedy pana na drodze mojej postawił. Będę się starała dać panu tyle szczęścia, ile

w moich siłach; ale zdołamże ja, biedna, prosta i nieswiatowa dziewczyna uszczęśliwić takiego jak pan człowieka? Pan to jeszcze rozważ dobrze, a jak rozważysz, wtedy pomów z moim bratem.

— Tego nie potrzeba, droga pani — odpowiedział p. Włodzimierz, tuląc jej ręce. Widać, że tego Bóg chciał, kiedy mi panią zesłał w tej chwili, w której nadeszłaś i natchnęła mi tę myśl, od której nie odstąpiłbym teraz za nic w świecie.

— Więc jeszcze jedno zapytanie — rzekła ściskając mimowolnie jego rękę, od którego mój pokój zależeć będzie. Tak nagle postanowienie musi mieć jakiś szczególny powód. Nie moja piękność, o której bardzo liche mam wyobrażenie, skłoniła pana do tak nieostrożnego postępowania, nie miłość raptowna i niewytłumaczona, w którą nie wierzę, popędziła pana za mną; nie interes także, boś pan widział dobrze, że jestem uboga i biegłam od pracy. Cóż tedy? powiedz pan. Nie wiedząc co pana skłoniło, z trwożą podam panu rękę, której pragniesz, z nieufnością wstąpię na tę drogę, po której chciałabym iść całkiem panu oddana, bez tej bolesnej myśli, że nie powinna była korzystać ze złej może jakiej chwili, w której przyszło to panu do głowy, czego możesz pożałować.

— Droga pani! — rzekł pan Włodzimierz poważnie — te skrupuły twoje podwajają mój dla ciebie szacunek. Ale uspokój się. Przyznaję się, że to była chwila bardzo zła, w której mi cię Bóg zesłał. Upewniam cię jednak, że tę myśl natchnęła mi twoja twarz i jej piękność, że w postanowieniu tem utwierdziło mię twoje przyjęcie, twoja rozmowa, przekonanie, żeś dobra i skromna, to usposobienie jakiegom doznał patrząc na ciebie, słuchając cię i czując ten oddech niewinności i czystości, który cię otacza. Resztę droga Anno! powiem ci po ślubie, powiem wtenczas gdy mi się przyznasz, że mnie serdecznie kochasz, gdy mi powiesz, że nie żalujesz tego, żeś słowu memu zawierzyła, gdy tuląc się do mego łona szepniesz mi, żeś zupełnie, zupełnie szczęśliwa.

Anna nie wiedząc prawie kiedy, zbliżyła się jeszcze więcej do niego, on położył jej ręce na swych piersiach, pocałował ją w czoło i pożegnawszy całą zarumienioną i drżącą, poszedł. Gdy się drzwi za nim zamknęły, biedna i uszczęśliwiona dziewczyna upadła na kolana i dziękowała Bogu, że jej tak świetny los zdarzył: a p. Włodzimierz wyszedłszy na ulicę, uczuł takie jakieś orzeźwienie, jakiego doznaje człowiek, który długo duszony był sztuczniemi woniami i nagle ujrzy się na zielonej sianożęci i świeżem odetchnięciu powietrzem.

W kilka tygodni potem jednego poobiedzia schodziły się do kościoła św. Krzyża tłumy ciekawych, zajeżdżały karety, koczki i wszelkiego gatunku ekwipaże. Dwa śluby miały się odbyć jednocześnie. Wielki ołtarz był rześisto oświetlony, a młodzież biórowa różnego stopnia, oficerowie róż-

żnej rangi, dowiedziawszy się, że obie narzeczone są cudem piękności, stanęli rzędem w pierwszej linii przed ściskiem publiczności, zostawiwszy tylko wolne przejście dla młodych par i towarzyszącego im orszaku. Ta jednoczesność obu ślubów nie była wcale przypadkową. Pan Włodzimierz dowiedział się o dniu i godzinie, na które naznaczony był ślub hrabiego Andrzeja i księżniczki Eleonory, i uprosił zarząd kościoła św. Krzyskiego, aby na kwadrans wprzód, przed tymże samym ołtarzem, przez tegoż lub innego kapłana i ślub jego mógł się odbyć. Oprócz tego, dowiedziawszy się gdzie ślubna suknia dla księżniczki była obstalowana, zupełnie taką samą obstalował dla swej narzeczonej. Chciał on aby Anna była piękna, aby przez tożsamość stroju podobieństwo było tem wyraźniejsze, aby ją księżniczka widziała, aby dać jej poznać, że w Warszawie uboga dziewczyna, siostrą kancelisty, może wyrównać pięknnością najpiękniejszym księżniczkom; że on znalazł taką i zamiast desperować, jak się pewnie zwodzicielka spodziewała, żeni się i z wesolą i spokojną twarzą podaje jej rękę. Tak się chciał zemścić biedny młodzieniec nad tą biegłą syreną, która bawiła się nim przez półtora roku, a którą on jeszcze kochał. A chociaż coraz wyżej cenił wartość i przymioty Annę, dla tego tylko okazywał jej przywiązanie, że była do tamtej podobną i słodkim czasem poila go złudzeniem.

O trzy kwadransy na trzecią stanął pan Włodzimierz przed ołtarzem i rozpoczął się obrzęd ślubny. Pochlebne szeptki dały się słyszeć w okolo; wszyscy admirowali piękność tej dorodnej pary, którą zdawała się najczystsza miłość połączyć. Anna ze łzą w oku przysięgała, p. Włodzimierz głośno i wyraźnie wymawiał słowa sakramentu, cisnął pod stulą drżącą rękę panny, aby ją zapewnić, że to co postanowił tak nagle, co stwierdza przysięga, postanowił na całe życie.

Jeszcze się obrzęd nie zupełnie dokonał, jeszcze oboje młodzi ludzie, już należący do siebie na zawsze, klęczeli z pochyłymi głowami, trzymając się za ręce, gdy wielki szmer powstał w kościele, zaczęło się szurowanie nogami, rozsuwanie się obecnych, i od drzwi wechodowych wsunęła się druga para i szła w towarzystwie dam postrojonych, orderowych panów i dygnitarzy wojskowych. Tak przyszła ona przed wielki ołtarz, właśnie w tej chwili, gdy kapłan rozwiżywał stulę pierwszych nowożeńców i ostatnie dawał im błogosławieństwo. W tedy odwrócili się oni od ołtarza i usunęli się na prawo. Pan Włodzimierz spojrzawszy z uśmiechem na księżniczkę, ona pobladała poznawszy go, widząc że podaje rękę młodej swej żonie, która była jakby odbiciem jej twarzy, postaci i stroju. Hrabia, który akt ten uważał za formalność, przytomny i zawsze żartobliwy, szepnął księżniczce: Ależ ona piękna jak słońce. Podobna do pani jak dwie krople wody. Pod jakimże u diabła stry-

chem znalazł tak cudną istotę, jaką ja ledwie jedną we wszystkich pałacach wyszukałem. *Taisez vous!* odpowiedziała mu drżąca od gniewu księżniczka. Tym czasem, nim przystąpili do ołtarza, ztąd i z owad dawały się słyszeć głosy: Śliczne obie! patrz jakie ta ma brylanty! tylko też brylanty stanowią różnicę! podobniuteńkie do siebie! tamta zdaje się młodszą i szczęśliwszą! Czy to siostry? ale gdzie zaś, to księżniczka, a tamto siostra jakiegoś kancelisty z ministerjum skarbu i t. d.

Pod gradem takich szeptów, takich głosów, takich porównań księżniczka Eleonora przystąpiła do ołtarza. Nogi się pod nią trzęsły, oddech się w niej tamował, zacięły się zęby tak, że ledwie wymówić mogła słowa tej przysięgi, które wymawiała cicho, prędko, a o których treści nie myślała wcale. Gdy się obrzęd skończył, obróciła jeszcze raz wzrok na prawo. Pan Włodzimierz, który trzymał przy piersiach rękę swej żony, patrzył na nią spokojnie i kiwnął jej nieznacznie głową. Wtedy łzy żalu, czy złości potoczyły się po jej twarzy, podała rękę temu, co ją miał od ołtarza odprowadzić i poszła śpiesznie naprzód, a cały jej orszak za nią.

Pan Włodzimierz, który widział dobrze stan księżniczki, zaspokojony tą niewinną zemstą, w najlepszy wpadł humor. A gdy przywiózł żonę swą do nowego jej domu, do tych pokojów niewielkich, ale urządzonych z gustem i wykwinną wygodą, gdy widział jak ją to wszystko cieszyło, z jaką wdzięcznością poglądała na męża, który zdawał się tylko o niej pamiętać, gdy postrzegł jak cudnie piękna zrobiło ją to szczęście, które wybiło się na jej twarzy, porwał ją w objęcia, serdecznie przycisnął do siebie, w obecności swych przyjaciół i zaproszonych świadków ucałował jej koralowe usta, i od tej chwili prawie kochać ją zaczął dla niej samej.

Kilka lat upłynęło. Oba te stadła przeżyły je bez żadnej przygody; ale krótki ten czas nie jednakowe dla nich przyniósł owoce. Hrabina Andrzejoya była bezdzietną. Hrabia był zawsze jednakowym. Zawsze grzeczny, uprzedzający każde życzenie żony, ale ani na włos nie tkliwszy, jak był przed ślubem, i nie zadający sobie najmniejszej pracy, aby jej okazał, że związek tak ścisły zmienił jego teorią o stanie małżeńskim, że ona zdołała obudzić w nim taką miłość, jaką jeszcze miała w swem sercu, a której się dla jego ekwipażów i salonów wyrzekła. Z początku uderzyła ją ta okazłość, która ją mąż otoczył. Bawiły ją jej kosztowne cugi, cieszyła admiracya ulicznych gapiów, radowały ją uczyt jakie dawała, pyszniła się podziwieniem swych gości, pochlebstwem młodzieży, okrzykiem wielkiego świata, który ją uznawał za najpiękniejszą i najszczęśliwszą kobietę, za pierwszą towarzystwa obecnego damę. Po jakim czasie postrzegła, że cudne sławuckie konie pochudy i zaczęły kuleć; a choć zastąpione były innymi, ale już nie były tak piękne i niepociągały jej ku sobie. Szło-

ry, które się jej nawet śniły, z których wyobrażeniem raz zasnęła, zdaly się jej jakieś niezgrabne, popękane i pośniedziale; kabriolet jakoś trząsł, karety i koczki raziły formą i nie były tak wygodne jak wprzódy; a chociaż mąż kazał sprowadzić nowe, ale te już nie miały powabu i blasku dawnych. Zwierciadła odbijały jak pierwszej jej pięknej postaci, ale były nieme i zimne, bronzy wisiały milcząc, kobierce cierpliwe i ciche nie przemawiały do jej duszy. Chodziła ziewając po swych apartamentach, kazała je zmieniać i odnawiać, ale to nic nie pomogło. Wszystko to nie miało wdzięku, nie czarowało ją bynajmniej. Nawet stroiła się bez zapału, tańcowała bez energii, a gdy mówiła mężowi, że jest znudzoną i prawie nieszczęśliwą, on uśmiechał się jak przed ślubem, z grzecznością i gotowością na jej rozkazy, zapytywał, czy nie chce sobie czego kupić, czy nie każe dać balu, albo obiadu, czy nie potrzebuje jakiego meblu, lub nie życzy sobie odmienić ekwipaż. Wszystko to przywiodło ją do takiej niecierpliwości, że jednej wiosny wzięła paszport, pojechała do wód, a tamtąd do Paryża, a po jakimś czasie hrabia z uśmiechem czytał od niej list, w którym mu wyrzucała, że nie dbał o jej szczęście, że zatem już do niego nie wróci. Taki był rezultat pierwszego ślubu.

Anna w tym przeciagu czasu została matką trojga dzieci. Pokochała ona męża tą miłością świętą i czystą, jaką wraza w serce kobiety widok rozrastającego się domowego szczęścia, którego on jest sprawcą i filarem. Dom stał się jej światem, obowiązki matki i żony jej religią. Czuliła ona ile jest obowiązana dobremu człowiekowi, który jej ułatwił drogę życia i codzień usypuje ją kwiatami miłości i własnego uszczęśliwienia, którego przed nią nie tai. Wśród zajęć domowych, które brała seryo, które lubiła, piękność jej wzmagała się coraz, wesołość i dobry humor nie zmieniał się bynajmniej, obcowanie tylko z człowiekiem tak ukształconym, kompania kilku kobiet zacnych, rozumnych i zamożnych, rozwinęły jej dobrą główkę, uformowały jej ułożenie i nauczyły wszystkiego, czego wymaga świat po kobiecie, której męża czekało znaczenie.

Pan Włodzimierz prędko zapomniał o księżniczce Eleonorze. Kochał on swoją żonę dla niej samej, szanował jej usposobienie, cieszył się wesołością, patrzył z roskoszą na jej piękność, czczył w niej matkę swych dzieci. Przestał bywać po salonach wielkich panów, nie śpiewał już francuskich romansów, chyba czasem chłopcykowi swemu, gdy już miał lat trzy i zaczynał rozbijać fortepian. Pan Włodzimierz spoważniał, oddał się żonie, domowi i służbie. Życzliwość ludzka towarzyszyła mu ciągle, władza oceniała jego zasługi i wkrótce podniósł się wysoko.

Taki był skutek drugiego ślubu.

Dziś, po trzydziestu kilku latach wszystkie te osoby, któremiśmy się starali zająć czytelników naszych, żyją je-

szcze i każda z nich zbiera żniwo, jakie siejba młodości wydać musiała.

Hrabia Andrzej, porzucony przez żonę, wierny swej zasadzie, szukał miłości w takich warunkach, żeby małżeństwo nastąpić nie mogło. Póki był młody i przystojny, znajdował ją w swojej sferze, gdy się zestarzał, szukał jej coraz niżej, i raz spotknawszy się na ciemnych schodach starego miasta, tak nieszczęśliwie upadł, że obie nogi złamał. Złe mu je złożono, złe go kurowano, tak, że długo stąpić nie mógł. Dziś chociaż chodzi jeszcze mocno i żwawo, ale każda zmiana powietrza daje mu się boleśnie uczuć i przypomina stare miasto. Łaje więc kobiety, zwłaszcza kiedy słońce i wilgoć, staje się coraz większym egoistą, smakoszem i zaczyna mocno kochać pieniądze.

Hrabina w czasie pobytu swego za granicą, nacieszyła się dowoli Paryżem, zaczęła się i tym nudzić, i umyśliła stósować do praktyki życia teorię, jaką jej mąż przy oświadczeniu swem wykladał i którą zapamiętała. Ale że się jej to nieszczęśliwie udawało, że trafiła na niestępczość francuską, grubijaństwo włoskie i flegmę niemiecką, straciła swoją fortunę, nadszarpała mężowskiej, w tych zapasach z życiem i gonitwie za szczęściem zestarzała się, zbrzydła i z ostatkami wdzięków i majątku wróciła do kraju. Dziś wyróżzoną, zmiętą, z pięknymi tylko perłami na szyi, które chowa i kocha, jako pamiątkę dawnego swego zamilowania elegancyi, można ją widzieć w kompaniach za zielonym stołem, gdzie zagłada w karty swego przeciwnika, łaje partnera i jak przegra nie płaci.

Pan Włodzimierz dobrze jeszcze wygląda i choć posiwiał, jest jeszcze przystojnym. Posiada znaczenie i wysoki urząd. Żona jego zawsze stosownie do położenia swego wieku, a czasem strojnie ubrana, należy do owych matron, których wdzięk czas zaszanował i przed której cnotą i życiem każdy uchyla głowę. Synowie jej już są na drodze zasługi i awansu, najmłodsza córka, przypominająca matkę wdziękami i ułożeniem, należy do rzędu tych panieli, z którymi nawet młodzi obywatele z Lubelskiego, tak chciwie wyszukujący do tańca hrabianki i księżniczki, nie wstydzą się stawać do mazura i do kadryla zamawiać.

Czegóż to wszystko dowodzi? zapyta może która z czytelniczek naszych, widząc że już koniec powieści.

Alboż potrzeba, odpowiemy na to, aby powieść fantastyczna czegokolwiek bądź dowodziła?

PRÓBY CIERPLIWOŚCI.

Gawęda gminna.

I.

W gospodzie Josia kipi jakby w garku,
A gwar się jeszcze wzmaga bez ustanku;
Bo to dzień wielki sławnego jarmarku,
I nie z jednego szlachta tu zaścianka,
W szarych łapotach po targu się zwija,

Z kupnem, z przedażą, z konikiem lub z krówką,
 o Josiela borysze zapija
 Kowieńskim miodem, piwem lub wiszniówką.
 Gwar więc w gospodzie, i trzy wielkie stoły,
 Gęsto obsiedli panowie szlachcice:
 A Joś się zwija podkasawszy poły,
 I coraz nowem nalewa szklance,
 I coraz woła: „kłaniam jegomości,”
 Grzecznie witając nowe towarzysze,
 I siwą brodę muskając z radości,
 Liczy złotówki, albo kredkę pisze.
 Coraz więc rośnie i rośnie ochota;
 Szlachta wykrzyka, w stół pieśniami grzmota,
 I to się sroży, to ścisła serdecznie,
 A każdą sprawę zapija statecznie.
 Ale najsrożej ode wszystkich braci,
 Huka i łaje budnik, stary Maciej.
 Będzie już temu bez smaża półwieka,
 Jak przywędrował na Litwę zdaleka,
 Gdzieś od mazurów, i siadł w borze dzikim,
 W budzie, wypalać potaż i wyrabiać klepki;
 Zważa więc szlachta Macieja budnikiem.
 Stary lecz jary, barczysty a krzepki,
 Z krogulczym nosem, z wąsikiem do ucha,
 Z ognistem okiem pod siwemi brwiami,
 Z łbem nasrożonym gęstemi fałdami,
 Z miny, z czupryny wyglądał na zucha,
 I zuch był w rzeczy. A choć z cudzej ziemi,
 Wielkie u szlachty znalazł zachowanie,
 Swego żywota sprawy pocziwemi;
 Bo szczerzy szlachcic był z niego mospanie!
 Czy kogo mieszkien zaratować trzeba,
 Czy oddać komu ostatni kęs chleba,
 Czy się z ostatnią pożegnać kapotą,
 Czy kark swój własny za kogo nadstawić;
 Maciej z serdeczną wnet bieżał ochotą,
 Choćby i zginąć, byle brata zbawić.
 Ale... (bez ale nie ma człeka pono),
 I Maciejowi ale przysądono!
 Maciej, w zachości bez wszelkiej przygany,
 Był, jak to mówią, gorąco kąpany.
 Maciej był skory do pocziwej rady,
 I do pomocy, ale i do zwady.
 Gdy się kto ściszał, czy spierał, czy czubił,
 Maciej tam pewno swego nosa wściubił;
 A choć to sercem pocziwem wiedziony,
 Nieraz oberwał z tej i z owej strony,
 I sam z afektu przechodząc do złości,
 Temu owemu pogruchotał kości,
 Snać to już taka mazurska natura...
 A że nie każdy dotrzyma z budnikiem,
 Na suche razy, więc płacił językiem,
 I różne dziwy zmyślał na mazura.

II.

Więc powiadali, że lat temu dwieście,
 Stach, dziad Macieja, wojował z Tatary;
 Długo wojował i gromił; nareszcie,
 Samotrzcę wpadłszy na pogaństwa chmary,
 Piorunem runął na zdumioną tłuszcę,
 I gdy dokoła krew bucha i pluszcze,
 Stach z kolegami i cały i zdrowy,
 Jak wichur zmyka przez szerokie błonie...

Lecz razem padły im wszystkie trzy konie!
 A tu w ślad ziemia tętni pod podkowę.
 Tuż, tuż Tatary a w koło równina,
 Tylko nad rzeką mostek się wygina,
 Przy mostku stoi osika zielona,
 Na brzegu czółno; ot cała ochrona.
 Nie ma co myśleć! Bartosz więc do rzeki,
 I pod most w wodę załazi po szyję;
 Stach się pod czółno przewrócone kryje,
 A Jontek w liściach nadbrzeżnej osiki.
 Ledwie się skryli, zagrmiął okrzyk dziki,
 Zadrżała ziemia, most ugiął się z trzaskiem,
 I rozjuszona wrogów zgraja cała,
 Pewnoby dalej sobie poleciała;
 Lecz gdy most sypnął na Bartosza piaskiem,
 Zawzięty mazur krzyknął: „podłe psiska!
 „Niechże was wszystkich razem kaduk spiska!
 „Oczy mi tylko łotry zapruszyły!”
 Wnet się Tatarzy jakby w ziemię wryły,
 Stały w miejscu i wodzą oczyma,
 I uszmi strzygą, czy gdzie wroga nie ma?
 I oto widzą: na drodze ślad znika,
 Więc nie wążliwiec tu się skryły zbiegi.
 Dalejże pilnie przetrząsać wzdłuż brzegi,
 I wnet radośnie wrzała zgraja dzika,
 Ujrzawszy w wodzie główiznę Bartkową.
 Więc jeden skoczy i arkan rozwinie,
 I raz po raz miota ku chudzinie.
 A Jontek z drzewa: „kręćże Bartku głowę,
 By cię nie wzięła żywcem ta bestja!”
 Nowy się okrzyk ku niebiosom wzbija,
 Wnet obtoczona do koła osika,
 I Jontek także wnet ujęty w żyka,
 Razem z Bartoszem ujrzał się na smyczy.
 „Rozpierzbła zgraja już się znowu kupi,
 Już w drogę rusza, rada ze zdobyczy:
 A Stach z pod czółna: „głupi! głupi! głupi!
 A trzeba było, jak ja siedzieć cicho,
 Toby was obu minęło to lichy!”
 Obces więc Tatar do czółna, i Staszka,
 Pochwycił w szpony, niby jastrząb ptaszka.
 Taki to mądry był dziaduś Maciusia;
 A Macius rychtyk udał się w dziadusia.

III.

I różnych takich faceciji bez liku,
 Pletli Litwini o starym budniku,
 Budnik się złościł i ściszał kułaki,
 I wzajem dziwy zmyślał na Żmudziaki;
 Ale najczęściej kłął mazurską mową,
 Lub odpowiadał laseczką dębową.
 Jednak pomimo te kłótnie i kpiny,
 Kochał Litwinów, a jego Litwiny.
 Tak więc i teraz w gospodzie Josiela,
 Pomiędzy szlachtą Maciej się uwija,
 I gęsto wszystkich diabłami obdziela,
 I ze wszystkimi wiszniaczek zapija;
 A gdzie kto głośniej, ogniściej zagada,
 Czyli to zwada, czy jaka narada,
 Tam już i budnik, jakby z nieba spada.
 A gdy tak łaje, i klnie, i wykrzyka;
 Stary Ignacy Szucikto, pan woźny,
 Litwin prawdziwy, ponury a groźny.

Ale serdeczny, szczerzy kum budnika,
 Siedząc w milczeniu nad kufelkiem piwa,
 Pyka luleczkę i wciąż mruga wąsem,
 I na mazura spogląda z przekąsem.
 I raz po raz głową tyko kiwa.
 Spojrzał raz Maciej, urągą Szucifto!
 Spojrzał raz drugi, znów ta sama mina!
 Litwin urąga! To już go wzburzyło!
 Obces na kuma i krzyknie zawzięcie:
 — «Co waś tam ciągle na mnie głową kręci,
 I wąsem mruga i z podelba ślepi.
 Siebie byś patrzył, toby było lepiej!»
 A Litwin jakby nie widział budnika,
 Ani się ruszył; dalej sobie pyka,
 Pijąc piwko, w stół palcami stuka.
 A mazur kipi! «Co mi waś grasz mruka?
 Gadajże przecie, gdy cię mazur woła!»
 Szucifto spojrzął z podelba surowo,
 J rzekł poważnie: «Kręcę, kręcę głową,
 Bo gdy waś ludzi czepiasz się jak smoła,
 Bo gdy języka nie zatrzymasz w pysku,
 I nie proszony, ani dziękowany,
 Wszędy nos wściubiasz, to kumie kochany,
 Serce mi w piersiach pęka od ucisku!
 Bo tak szanując i miłując ciebie,
 Smutno jest myśleć, że nie będziesz w niebie!»
 — «Jak to nie będę! krzyknie mazur w gniewie,
 Czy to to bóg z waścią o mej duszy radzi?»
 — «Nie będziesz kumie! bo język ci wadzi,
 Parząc ci gębę, jakoby zarzewie.
 Bo chociaż prawyś, zacny i poczciwy,
 Aleś gorący, szparki, niecierpliw;
 Więc cierpliwości uczyć się potrzeba,
 Inaczej pewno nie trafisz do nieba!»
 Ośłupiał mazur, zapomniał języka,
 Tak go to *dictum acerbum* stropiło!
 I wstyd, i żalność serce mu przenika,
 I złość i rozpacz bierze!... A Szucifto
 Rzucił żydowi złotówkę za piwo,
 I precz z gospody wyniósł się co żywo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Najnowsze dzieła.

1) Urodzony Jan Dęboróg.

Dzieje jego rodu, głowy i serca przez niego samego opo-
 wiadane a rytmem spisane.

(Przez Władysława Syrokomlę. Petersburg 1854.)

2) Zgoda Senatorska, tradycya szlachecka.

(Opowiedział Wincenty Pol. Petersburg 1854.)

(Ciąg dalszy.)

(W żadnym poemacie większym Wincentego Pola nie
 szukaj artystycznej budowy. Są to raczej ustępy połączo-
 ne w całość słabą bardzo nicią. Pojedyncze miejsca i u-
 stępy przesliczne, układu artystycznego mało. Wszędzie
 znać liryka, który nad baladę wznieść się nie może. Szer-
 szych rozmiarów zdarzenie jakieś wysnuć, rozwinąć cha-

raktery, namiętność ludzką aż do kolizyi wielkich przepro-
 wadzić, to nie rzecz naszego poety. A gdzie niema podo-
 bnej treści, z której jedynie układ artystyczny wywinąć się
 może, tam trudno aby w większym poemacie z samych
 porywów lirycznych lub zdarzeń baladowych złożyć moż-
 na całość doskonałą. Wprawdzie wielki talent naszego
 najpierwszego może liryka, bogactwo nadzwyczajne obra-
 zów, piękny i świeży zawsze język, pokrywa tę wadę w
 większych utworach jego, ale każdy mi przyzna, iż nigdy
 całość osnowy z tych utworów nie została w dłuższej pa-
 mięci czytającego, nie zrobiła nań wrażenia przeważnego,
 lecz zawsze i jedynie pojedyncze miejsca i ustępy.

Druga właściwością wszystkich utworów Pola, tak dro-
 bniejszych, jak i większych, jest nieprzebrane bogactwo zdań
 czyli sentencji narodowych, to z życia podsłuchanych, to
 z kronik i pamiętników zaczerpniętych, to nareszcie w tym
 samym duchu narodowym z niesłychaną łatwością i prawdą
 przez autora samego stworzonych. W te to sentencje i
 przysłowia i przypowieści, najczęściej chociaż świeżo stwo-
 rzone, ale zawsze ludowi lub szlachcie jakby żywcem z
 pod serca wyjęte, przyobleka Pol zdarzenie które opowiada
 i tym sposobem już z góry wkupuje się w miłość czytają-
 cych; osobliwie gdy temi zdaniem ślebia szlachcie, jakże
 się niema szlachcie podobać? Wprawdzie często zdarzy się
 poecie najdziwaczniejszą rzucić nam sentencją; ależ on po-
 kochał całym sercem tę przeszłość naszą, on przyłgnął do
 niej całą duszą. Przebaczyc więc jako poecie należy iż nieraz
 w tem ubóstwianiu tej przeszłości posuwa się za daleko,
 że chwali to nieraz, co nagany warto, że stawia siebie na
 stanowisku stronnictwa politycznego, a więc swe utwory
 za narzędzie stronnictwa, głosząc n. p. podobne sentencje
 jak w zgodzie senatorskiej.

I jak konia rozeznasz dobrego zawodu

Jeszcze w dziesiątym rękę, tak człowieka z rodu.

Jest w tem wiele prawdy, iż Pol często powtarza się
 w swych sentencjach, iż wpada przeto w manierowanie;
 ale dzieje się to jedynie w ogólnych ustępach. Gdzie wcho-
 dzi w treść opowiadania, tam świeżość pomysłu nastęcza
 mu i świeże przypowieści i zdania. Również i w ustępach
 ogólnych gdzie odkrywa nowy pogląd na narodowe życie,
 tam i myśl moralna i sentencje są nowe. Jak precudny
 n. p. w wstępie do Zgody Senatorskiej jest pogląd na
 rady familijne w życiu patryarchalnym naszych przodków,
 które rady i rządy familijne przechowały się aż do naszych
 czasów. Przyłączamy tu ten cały ustęp, który chociaż
 główną podstawę wstępu stanowi, przecie z osnową poe-
 matu w żadnym prawie nie stoi związku; wart jednak, aby
 go podniesiono.

W każdej prawie rodzinie był ktoś jeden głową.

I świętem było wszystkim każde jego słowo.

Był to człowiek w rodzinie zwykle najmożniejszy,

Albo wiekiem najstarszy, albo najradniejszy!

Czasem też padła kolej, że i z niewiać grona,

Zawładnęła rodziną poważna Matrona,
I w ówczas bywał w domu taki sojusz wierny,
Że i dom sie podnosił i majątek mierny,
Że każdy za jej radą na nogi się stawił,
A domowi widocznie Pan Bóg błogosławił.

Kto zawładnął rodziną, ten rządził uważnie,
Z łagodnością, słodyczą, lecz bardzo poważnie!
Dosyć było tam słowa, czasem rzutu oka;
Lecz gdy w słowie lub oku upadła z wysoka,
Rada, albo przestroga, lub broń Boże kara:
To nie żarty już były i strzegła się wiara!
I każdy musiał uleść, lub co złe poprawić,
I musiał choć raz w roku pocziwie się stawić,
I przed głową rodziny ze wszystkiego sprawić.

Święta w rodzinach zwykle razem obchodzono,
Ze szkół chłopców, z klasztoru panienki zwożono;
Ten przybywał z palestry, od chorągwi inny,
Czasem i kaptur ciągnął do strzechy rodzinnej,
Bo choć uczynił ślubu ubóstwa, czystości,
Nie wyrzekł się przed Bogiem pocziwiej miłości.
I ze mszą a praktyką przybywał do domu,
Czasem też i wypadło związać ręce komu,
Lub na którym wyrostku spróbować ogórki.
Tam z żonami synowie, a z zięciami córki,
Pospieszali w wigilią imienin lub święta;
I każdy tam przytułił drugiego pisklęta,
A choć razem nie żyjąc widzieli się z rzadka,
To kiedy babka wnuczkę, panią córkę, matka,
Ojciec syna, synowca obejrzał stryjaszek:
To żeby jaka trusia, żeby jaki ptaszek,
Musiał się wypowiedać i w skrusze osądzić,
I nie wolno tam było nikomu pobłądzić!

Tam na słabość zjeżdżały najmłodsze mężatki,
I komu nieszczęśliwie chowały się dziatki
Oddawał tam i dzieci, a pod okiem głowy,
Kwitło dziewczę jak róża i rósł chłopak zdrowy.
Bo do siódmego roku w habitku ubrane,
I Matce Boskiej z łzami na ofiarę dane,
Rosło i wątłe dziecię pod strzechą obronną,
I wyprosiło żywot sukienką zakonną,
Nie widziane od matki do siódmego roku;
Taka to jest moc wiary, taka łaska w oku!
Do rady familijnej nie każdy należał,
Nawet w samej rodzinie, lecz każdy powierzał,
Po Bogu swoje losy familijnej radzie,
A co dla jego dobra zapadło w jej składzie,
Tego trzymał się święcie. — Rzecz nie szła na głosy,
I jednomyślnie w końcu zapadało zdanie,
A każdy je przyjmował i dziękował za nie.

Tu się zazwyczaj wszystkie układały stadła,
Tu dzielono majątek, gdy fortuna spadła,
Starszy układał schedy, a młodszy wybierał,
Tu młody w świat wychodząc przestrogi odbierał,
I przed tym trybunałem musiał się znów stawić,
Gdy się krzywo kierował i źle począł bawić.
Bo i to się zdarzało.

Dola była złota,
Szabla wiecznie przy boku, do bójki ochota,
Człek za młodu trzymany surowo i bity,

Więc jak się rozparł później w Rzeczypospolitej,
To nie było fantazyi czasem i granicy,
I krzywda nieraz siadła na krzywej szablicy,
Tak przy wolności była czasem i swawola,
Ależ był i hamulec była starszych wola,
A kto się nie bał sejmu i sądu i króla,
Bał się tego, eo z rodu miał nim prawo rządzić,
I choć bliskiego sercu potrafił osądzić,
Jeszczeć gdy się zdarzyło tak po ludzku zbłądzić,
To była na to rada i ratunek w porę,
Lecz czasem szlachcic zabrnął, że aż piekło gore!
To jak dał nurka w Polsce i słych o nim zginął,
I po latach dopiero z klasztoru wypłynął,
Gdzieś na Gdańskim Pomorzu, albo też na Żmudzi,
Słuchasz, patrzysz, poznajesz, czy cię oko łudzi?
A on missyą odprawia i nawraca ludzi!

«A ktoż waści nawrócił?»

— «Miłosierdzie Boga!

Wstyd com zrobił rodzinie, i wskazana droga,
Za radą familijną...»

Czasem gdy nie było

W sercu takiej pokory, a złe się zbroiło,
Trzeba było na kudak szlachcica wyprawić,
Aby mógł się dowoli szabelką zabawić,
I krwią własną to obmył, co szabłą nabroił;
A że nikt w ciepłe czapki wartośbów nie stoił,
Dano mu tylko konia, kulbakę i szablę,
I krzyż na cztery wiatry! «Ruszał panie djabie!...»

Cóż wasze na to powiesz? często się zdarzało,
Że się taki bannita okrył jeszcze chwałą;
A ten co bywał w kraju ludziom niebezpieczny,
Gdy między Łotrów popadł, jak prałat stateczny,
Pilnował się chorągwi, i tam w obec wroga
I z sumieniem się spotkał, i z brzoźnią Boga,
A gdy o nim i jego sprawkach zapomniano,
I od kresów dzielnego rycerza witano,
Słuchasz, patrzysz, poznajesz, czy cię cko łudzi?
A on już i chorągiew, i zaciężnych ludzi,
I lisfy ma od króla i łaskę hetmana,
Ba, nawet i starostwo, i wyszedł na pana,
I krócej jeszcze trzymał bractwo na posiadzie,
I najsurowszym bywał w familijnej radzie... (D. n.)

Dwadzieścia dni pod ziemią.

Straszny wypadek zdarzył się 14 kwietnia r. b. w Francyi południowej, w gminie Eeully, pod Lyonem, który zajmował wszystkich Francuzów z gorączkowym prawie udziałem. Co dzień telegrafowano o tem do Paryża. Wyszedł teraz obszerny opis tego zdarzenia z którego treść podjemy. Robotnicy kopali studnię w własności pana Moine, gdy koto godziny pierwszej z południa ziemia zaczęła się usuwać i dwóch robotników zostało zasypanych pod kupą piasku, belek, kamieni i gruzu, w głębokości siedm metrów (dwadzieścia cztery stopy.) Szczęśliwym trafem bębny zapadające się zbiegły w sklepienie nad ich głowami, tak że zostało trochę powietrza i światła nieszczęśliwym, zakopanym po piersi, tylko ręce i głowę wolne mającym.

Na wieść o tym wypadku, pospieszył na miejsce komisarz policyi a widząc że dorywczem środkami nie nie podjęta, wezwał p. Robinet, kapitana inżynierów z lyońskiej załogi, który niebawem z ludźmi swymi przybył na miejsce katastrofy i zaraz wziął się do roboty nad odkopywaniem, którą przez całą noc prowadzono z największą energią i poświęceniem. Po kilku bezowocnych probach wy-

dobycia zasypanych, postanowiono wybić szyb ochronny, bo tym środkiem ocalało się najpewniej i zasypanych i pracujących nad ich oswobodzeniem. Tymczasem biednym robotnikom pod ziemią spuszczone żywność i skrzepiono ich nadzieją rychłego ocalenia.

Dnia 16. kwietnia robotę pogłębiono do pięciu metrów, ale trafiono na żwir wilgotny i usuwający się, co pracę strasznie utrudniało. Zasypani, nie mogąc wytrzymać nacisku ziemi i kamieni przytłaczających im nogi i brzuch, żądali aby im spuszczone małe woreczki, w któreby wybrać mogli ziemię około siebie. Kapitan Robinet wahał się, lecz w końcu pozwolił na to; zaledwie jednak dwa nacie woreczków piasku wybrali, zaczęło się sklepienie przypadkowo utworzone zsuwać i musiano zaprzestać tego wybierania.

Dnia 17. kwietnia, położenie biednych robotników pogorszyło się znacznie; chociaż wiedzą, że bezustannie dzień i noc pracują nad ich odkopaniem, upadać zaczynają na duchu w miarę utraty sił fizycznych. Jeden z nich spał trochę tej nocy, drugi, widząc niewygodniej przytłoczony, nie zmrużył jeszcze oka. Dziś szyb nowy zrównał się z poziomem dołu gdzie leżą zasypani, zaczęto poprzeczny chodnik dla dostania się do nich. Ale robota to niebezpieczna i trudna, bo grunt nadzwyczaj ruchomy, i lękać się przychodzi co chwila aby cała dotychczasowa praca nie została udaremnioną. Najtrudniejszą będzie chwila, gdy za dojściem zakopanych robotników przyjdzie koniecznie wybierać którego pierwiej dobyć na powierzchnię, bo drugi, czekający swej kolei, na wielkie narażon będzie niebezpieczeństwo.

Dnia 19. kwietnia. Zdrowie zasypanych nie budzi obawy. Jeden z nich po pas przybity ziemią, drugi tylko po kolana. Oba śpią w nocy, mają apetyt i posilają się bulionem. Saper inżynierzy spuszczał się dnia 18. w dół gdzie leżą przywaleni i rozpoznawał ich położenie za pomocą lampy. Materiały zwalone nad ich głowami w jednym miejscu dość są cienkie, ale dotykać ich nie można, żeby się nie obsunęły i nie zabiły biedaków. Kapitan Robinet spuścił się do bieżącego szybu i sam kopał galeryę poprzeczną, dla zagrania żołnierzy; przez dwadzieścia cztery godzin ledwie o 35 centymetrów (około 14. cali) posunął się naprzód zdołano. Pomimo starannej obudowy deskami, piasek i woda przeciska się i zawala przejście. Dla zapobieżenia temu, mech i faszyne zakładają pod deski. Sapery nie kopią już rydlami, żeby wstrząśnienia uniknąć, tylko drapią ziemię żelaznymi rękawicami. Nad wieczorem złamała się jedna deska i galeryę zasypała. Całą noc pracowano nad wyniesieniem tego piasku i założeniem nowych bali. Dziś posunięto się naprzód tylko o 15 centymetrów, pomimo usilnej pracy.

Dnia 20. kwietnia, jeden z zasypanych biedaków skonał o godzinie piątej rano; nazywał się Julla; był to starszy i głębiej ziemią przywalony. Inżynierowie, postrzegłszy to, a nieustając w gorliwości i poświęceniu, pewni że skrócą cierpienia pozostałego przy życiu Girauda, którego położenie śmierci towarzysza strasznie pogorszyła, jeli się pierwszego sposobu ratowania. W tym celu spuszczone sznury, żeby je sobie koło pasa obwiązał. Lecz za najmniejszym poruszeniem jego sypała się ziemia, każde uderzenie strącało masy gruzu i piasku, tak, że nieszczęsny, pomimo żywej chęci wydostania się z tego przedwczesnego grobu, uznał ten środek nie praktycznym i pogorszającym tylko jego położenie. Prosił więc żeby się wzięto do kopania podziemnego chodnika. Praca ta odbywała się pod nadzorem władz cywilnych i wojskowych, ale trzeba było waleczyć z naturą gruntu. Zmarły Julla skonał w takim stanie odrtwienienia, że od dawna nie wiedział o swym stanie i można powiedzieć, że śmierć padła już na trupa. Pozostały przy życiu jego towarzysz, leżąc koło trupa, w okropnym znajduje się położeniu; zachował jednak trochę sił, bo jadł to co mu spuszczone. Lękają się, żeby nie stracił odwagi, która go dotąd utrzymywała.

Dnia 23. kwietnia zawalił się chodnik poprzeczny, musiano się

wziąć do nowego porządku robót; 150 saperów i żołnierzy zaczęło kopać dwa rozkopy otwarte, pod kątem zbiegać się mające między dwoma szybami. Praca ta, chociaż najprędzej prowadzona, wymaga czasu dosyć. Biedny Giraud gorączkował noc całą, lecz nowe roboty nad jego ocaleniem pokrzepiły w nim ducha. Dzisiejszego rana, odwiedziły kardynała-biskupa i słowa zachęty tego zacnego prałata wiele się do tego przyczyniły. Trup towarzysza, leżący przy nim, nie bardzo mu dotąd dokucza. Nie chciał wziąć oetu podawanego sobie i jadł dziś trochę. Ma on lat dwadzieścia cztery. Nie trudnił się dotąd studniarstwem i dopiero pierwszy raz zajął się taką robotą. Od kilku minut dopiero znajdował się w studni kiedy został zasypany. Bezzęnnym jest równie jak zmarły jego towarzysz. Matka Girauda przybyła i głęboką boleścią budzi litość powszechną. Trudno wystawić sobie okropniejsze jak tego nieszczęśliwego położenie.

Dnia 24. kwietnia. Rozkop szybko prowadzą. Nie zawodny to sposób dojścia do celu i zarazby go się chywycono, gdyby nie łączył się z wielkim niebezpieczeństwem dla zasypanego. Doszedłszy bowiem do ściany studni, wielkie było podbieństwo że ziemia z niej zwali się raczej na głowę Girauda niż w rozkop. Chroniąc go od tego, kazano zrobić cztery rury żelazne, na długość 2. metrów razem, któremi zaprowadzą podziemną komunikację między rozkopem a studnią.

Dnia 27. kwietnia nowy rozkop, 6 metrów szeroki u góry, już doszedł 6 metrów głębokości. Pozostaje tylko półtrzecia metra wykopać dla dostania się na poziom leżące Girauda. Zaczynają już chodnik z rur, raczej cylindrów wchodzących jeden w drugi, 90 centymetrów średnicy mających; ustawia je pochyło, żeby łatwiej wychodziły jeden w drugi. Cylindry te, z bardzo grubej blachy żelaznej, mogą wytrzymać ciśnienie 25 do 30 kilogramów. Sapery będą więc doskonale zasłonięci od zawalenia się ziemi. W przewidywaniu, że ten nowy sposób nie będzie dostateczny, zbudowano, po drugiej stronie pierwszej studni, w drugim rozkopie, szyb czworokątny podług systemu Boule. Jeden tylko człowiek pracować tu może; dostawszy się na poziom galeryi, kłaskać się musi na brzuchu i tak kopać, dla tego robota jego idzie powoli. Sapery i żołnierze dzień i noc pracują na zmianę.

Prace około założenia chodnika rurowego trwały przez dni kilka, z powodu ciągłego usypywania się ziemi. Generał Castellane, dowódca dywizyi, odwiedził Girauda i pokrzepił jego ducha szczerem i serdecznym współczuciem.

Nareszcie dnia 3. maja studniarz Giraud został ocalony. Gdy kilkuset ciekawych, zebranych w okolicy posiadłości Moine, ujrzano światło pochodni, znak oswobodzenia Girauda, na szczycie budynku, do którego ten nieszczęśliwy został przeniesionym po wyprowadzeniu z przepaści, w której przez dni dwadzieścia umierał wolną śmiercią; radosne wjwat ozwało się między tłumem, a wieść o tem szczęśliwym uratowaniu lotem błyskawicy rozbiegła się po Lyonie, gdzie niezmierną radość wywołała. Komisarz policyi wielkiego teatru oznajmił ją między aktami „Hugenotów“; oklaskami wyrażono wdzięczność dla odważnych jego wybawców.

Trzebaby opisywać każdą minutę, przejście ostatniej godziny która poprzedziła wybawienie Girauda, bo każda minuta była zajmującą. O godzinie w pół do ósmej, około czterdziestu osób, między którymi znajdowali się generał Mellinet, Goirac, mer i proboszcz Ecully, zbrali się u podnóża amfiteatru pod którym zaczyna się galerya prowadząca do dołu gdzie leżał Giraud.—Kapitan Robinet donosi, że już bardzo cienka ściana ziemi przedziela pracujących od zasypanego, i że za jaką godzinę uwolnionym on będzie. Ufność kapitana przelewa się w obecnych, gdy ten donosi, że przełamano ostatnie przeszkody i że pozostaje tylko rozszerzyć otwór dla wyciągnięcia Girauda, który już ma jedną nogę wolną.

W tej chwili obecnych napada obawa. W kilka chwil kamień,

około dziewięciu funtów wazący, dochodzi rąk najbliższych świadków tej sceny; przez dwadzieścia dni gniołł nogę Girauda, cały był wilgotny i ciepły. Drugi kamień tyleż prawie wazący, także oglądają, również wygrzany długim leżeniem na cieple zasypanego biedaka.

Tymczasem, sapersy, z rozkazu kapitana Robinet i przepisu chirurga wojskowego, przygotowują nosze pod Girauda. Nosze te za cztery nogi przytwierdzone są do ramy, która chodzi w fugach, tak że bez najmniejszego wstrząśnienia można będzie wyciągnąć Girauda z samego szybu aż na wierzch.

Girauda też odkopano zupełnie; stanął na nogi, wolne już mając członki w tem ciasnym więzieniu; doznaje mu tylko przekroczyć próg przy pomocy najbliższego sapersy; żołnierz ten ujmie go, lecz zaledwie podała to zdrtwiałe ciało w ręce najbliższego towarzysza, sam pada bez zmysłów, zaduszony gazem wywiązującym się z legowiska, którym Giraud oddychał przez dwadzieścia dni. Świadkowie tej sceny później dopiero dowiedzieli się o tem zdarzeniu, bo wszystkich głębokie wzruszenie ogarniało. Wszystkich oczy zapuszczają się w otwartą przepaść, która w ciemności głębszą i straszniejszą się wydaje niż jest istotnie. Czekają w obawie lecz nie długo. W kilka minut po ósmej dobywają nareszcie Girauda z szybu, który zawaliwszy się raz na niego, teraz znowu się zawalił po jego wydobyciu! — Ocalał już prawie, ależ w jakim to stanie ziemia oddała go światu? Nie łatwo to opisać. Starannie okryty, osłonięty, przeniesionym został do domu o kilkadziesiąt kroków od miejsca wypadku, gdzie już rodzina Moine na jego przyjęcie przysposobiła wszystko. Zupełnie jego wyzdrowienie będzie już rzeczą starą i czasu. Niema nie złamanego w ciele Girauda, tylko noga mu jedną ugnęła mocno i wielkich wymaga środków. Duch jego, wśród tak długich cierpień, nie zesłał bynajmniej i przytomność umysłu wcale go nie opuszczała. Giraud zaraz poznał proboszcza z Ecully, kiedy zaczął ten kapłan przybył doń ze słowami pociechy.

Nazajutrz dobyto ciało Julla, nieszczęśliwego towarzysza Girauda, już w najokropniejszym rozkładzie będące. Na głowie były znaki silnego uderzenia kamieniem, co zapewne śmierć jego spowodowało.

Giraud przyszedł zupełnie do zdrowia, tylko rany na nodze jeszcze nie zgoiły się.

Rozmaitość.

* Nowy sposób haftowania bielizny wynaleziono w Paryżu, a zastosowują go najwięcej do zakładek na przodzie koszul męskich i damskich. Kawałek który haftować się ma, powlekają roztworem gumy arabskiej, nie dotykając jedynie tym płynem wzoru wyrzutowanego na płótnie. Potem wkłada się ten kawałek płótna w roztwór potażu. Wkrótce w miejsce gdzie gumy nie było, powstaje wypukłość, rodzaj dłuższego włosa, którym rysunek odznaczony wygląda zupełnie jak haft, i potrzeba oka znawcy aby go od istotnego haftu rozróżnić można.

* Niedawno oglądał Napoleon w Luwrze model ruchomego mostu który w mieście Brest ma być stawiany; wynalzcami są panowie Cadiat i Ondry. Most ten łączący będzie obadwa brzegi Penfeldu, składać się będzie z jednego łuku o 500 stóp szerokości. Łuk ten tak wysoko wznosić się będzie, iż okręta handlowe swobodnie popod most płynąć będą mogły; dla większych zaś wojennych okrętów łuk ten, za poruszeniem działanem przez 4. ludzi, otworzy się na dwie równe części.

* Najnowsza powieść Aleksandra Dumasa ma napis: „Mohikanin w Paryżu” i zajmie tomów dwadzieścia.

* Akademia francuska ogłosiła konkurs na najpiękniejszy poemat

o Akropolis Ateńskiej. Teraz Ludwika Colet otrzymała pierwszą nagrodę z pomiędzy 60 ubiegających się o ten zaszczyt poetów.

* Zeszłego piątku, o godzinie 10 wieczor, okropne zdarzenie stało się we Lwowie. Żona jednego z przedmiejskich szynkarzów zarzuciła troje własnych dzieci, a potem sama sobie gardło poderzuciła. Dwoje dzieci natychmiast umarło, trzecie żyło jeszcze kilka godzin. Sprawczyni zaś tego dzieciobójstwa, gdy na krzyk broniącego się dziecka pięcioletniego wpadli ludzie do izby, nie zdołała sobie śmiertelnego zadać rana i żyje dotąd. Czy rozpacz czy obłąkanie spowodowały matkę do tak okropnego czynu, niewiadomo dotąd z pewnością. Podobno jedno i drugie razem.

Przyjechali od dnia 31. maja do 2. czerwca do Lwowa:

PP. Hobendorf Kalixt, z Przemysła. Mana-tyrski Józef, z Blazowa. Jackowski Michał, z Kozłowa. Postrucki Józef, z Wojniłowa. Romaszkan Antoni, z Burakówki. Medwey Fanciszek, z Stupnic. Terlecki Antoni, z Łanowie. Horodyski Onufry, z Horezan.

PP. Wojnarowski Antoni, z Stryja. Russocki Włodzimierz hr., z Dolskiego. Ożarowski Konstanty z Strzemilczy. Lanckoroński Teodor, z Poddubie. Obertyński Leopold, z Żółkwi. Żurkowski Wiktor, z Tarnopola. Golejewski Karol hr., z Krzywicz. Drohojewski Maciej, z Łukawicy. Lanckoroński Wiktor hr., z Woli wadowskiej.

Wyjechali od dnia 31. maja do 2. czerwca ze Lwowa:

PP. Smarzewski Felix, do Uherc. Babinski Władysław, do Popowic. Böhm Józef, do Tarnopola. Biłński Jan, do Tarnopola. Heller Ignacy, do Stryja. Gross Piotr, do Żurawna. Cielecki Ludwik, do Łoziny.

PP. Madejski Antoni, do Żurawna. Stadnicki Leon hr., do Nadyby. Zabliński Ludwik hr., do Brzeżan.

(88)

(3-3)

Zetyca i kąpiele rzeczne i zetyczne

ORAZ

**zakład kąpiei kroplistych (tuszków),
w Turce,
w obwodzie Stryjskim.**

Turka, z bardzo przyjemną okolicą i położeniem otwartem, górami i dolinami przerzniętą, i z szczególniejszą roślinnością, podnoszącą wdzięki przyrody, przy spływie trzech rzek górskich: Stryja, Jabłonki, Litmirza, z rozmaita temperaturą, łączy w sobie wszystko, co tylko do odzyskania i pielęgnowania zdrowia potrzeba. O pomieszczenie gości kąpielowych postarano się dostatecznie, o co z zapytaniem udać się trzeba do Administracyi dóbr w Turce.

(89)

(1-3)

Sprzedaz owiec.

Owczarnia cała składająca się:

ze 40 sztuk baranów

przeszło 500 „ matek stanowych

300 „ skopów

600 „ młodzieży

pochodząca z sławnych owczarni Barona Bartensteina w Hengersdorf i Deutsch-Knönitz w czystej swojej krwi utrzymana, z której wełna corocznie po 120 do 130 złr. m. k. na miejscu sprzedaje się, jest dla zaszczytliwych odmian w gospodarstwie rolniczym do sprzedania

w Tyszkowcach,

obwodzie kołomyjskim, 1 mila przy Horodence, tam ją opatrzyć i za cenę odpowiednią nabyć można.

TEATR POLSKI.

We środę dnia 7. czerwca: MULAT. Dramat ze śpiewami w trzech aktach z francuzkiego pp. Melesville i Royer de Beauvoir.

W księgarni
H. W. Kallenbacha

dostać można:

Książka do nabożeństwa dla młodych dziewic
podług układu

Klementyny z Tańskich Hoffmanowej.

Oprawna w skórę 5 zhr. 45 kr. nieoprawna 3 zhr.

O naśladowaniu

JEZUSA CHRYSOSTUSA

Ksiąg czworo

z łacińskiego przetłomaczył

X. A. J.

z 8. rycinami, w 8ce dużej

Berlin 1854.

w ozdobnej oprawie 13 zhr. nieoprawna 10 zhr.

POWIEŚCI

MIECZYŚLAWA R.

Choraży, Chart Watażki

Lwów 1854. 20 kr. m. k.

ŚWIAT I JEGO MIESZKAŃCY.

OPIS WSZYSTKICH KRAJÓW

kulę ziemską sakładających i t. d.
przez **W. Szymanowskiego.**

3 tomy z 40 kolor. i wyzłaczeniami rycinami, Wilno 1853.

Cena 24 zhr.

In der Buchhandlung von
H. W. Kallenbach in Lemberg

ist zu haben:

Conversations-Lexicon

für Geist, Wiß und Humor

herausgegeben von **M. G. Saphir.**

2 Bände 12 fl. C. M.

Neues, belletristisches

Lese-Cabinet

der besten und interessantesten Romane aller Nationen

in sorgfältiger Uebersetzung.

Pesth 1854. jede Lieferung 12 kr. C. M.

Prenumeration wird angenommen auf die

Leipziger illustrierte Kriegs-Beitung

wöchentlich eine Nummer mit Illustrationen.

13 Nummern kosten 1 fl. C. M.

Probenummern sind in der genannten Buchhandlung
zu haben.

DEMOKRITOS

oder

binterlassene Papiere eines lachenden Philosophen.

von **Karl Julius Weber.**

vierte Original-Auflage in 35 Lieferungen à 16 kr. C. M.

LE CAUCASE PITTORESQUE

dessiné d'après nature

par le **Prince Gregoire Gagarine.**

Avec une introduction et un texte explicatif

par le Comte

Ernest Stackelberg.

Dedié A. S. Majesté Imperial

Nicolas Ier.

Paris, folio. 17 feuilles. Prix 25 fl. C. M.

S T E E P L E - C H A S E

comique

par **Eugén Houx-Marc.**

avec Programme et Chevaux. Prix 5 fl. C. M.

(95)

(2-6)

Najnowszy wynalazek!



C. k. wyłączny

przywilej

na nowo wynalezioną czarną, brunatną lub blond

Pomadę orzechowa

do farbowania włosów, wzmacniania skóry, na której włos rośnie, i zapobieżenia wypadaniu włosów, przez szanowny fakultet medyczny rozbierną i uznaną jako zupełnie nieszkodliwą. Ten doświadczony wyborny środek do farbowania włosów posiada nietylko własność włosów jakiegokolwiek barwy farbowania na czarno lub brunatno bardzo szybko i na czas dłuższy, czem od wszystkich innych podobnych środków się różni, lecz wzmacnia także skórę, w której włos rośnie, zapobiega wypadaniu włosów, robi je miękkimi, i nadaje takowym piękny, naturalny połysk. Słowem ten środek do farbowania włosów, a mianowicie ta pomada wpływa korzystnie na piękny porost włosów, nieszkodząc bynajmniej niczem zdrowiu. Jeszcze uwagę dodać należy, iż jeżeli jedynie do do wzmocnienia skóry, w której włos rośnie i do zapobieżenia wypadaniu włosów ta pomada użyta być ma, natenczas najlepiej używać pomady blond, jakiegokolwiek włosy są koloru.

Skóik tej pomady wynalezionej przez **A. Link** w Wiedniu, kosztuje 30 kr. m. k.

We Lwowie dostać takowej można jedynie w handlu Antoniego Schick'a wdowy.

Ten sam handel utrzymuje również największy i najlepiej zaopatrzoney skład tak krajowych jak i zagranicznych perfum, pomad, octów, pasty na zęby, mydła i tym podobnych artykułów.

(83)

(3-3)

W rzeczywistości pod Nrem 168¹/₂ na przedmieściu Zamarstynowskim w zabudowaniu wśród wielkiego i pięknie urządzonego Ogrodu, są pięć, trzy lub dwa piękne, suche, parkietowane Pokoje — też stajnia i wozownia razem lub częściowo na letnie pomieszkanie lub rocznie do najęcia. Bliższą wiadomość u właściciela powziąć można.



Na sprzedaż

Powóz wiedeński przejeżdżony. — Bliższą wiadomość udzieli **Wny. Boczkowski, Lakiernik przy ulicy Szerokiej Nro. 14¹/₂.**

(82) (4-4)

Zabezpieczenie
przeciw gradobiciom.



Stałe premia.
Całkowite wynagrodzenie.

UWIADOMIENIE.

Centralna Dyrekcya c. k. uprzyw. towarzystwa „Assicurazioni generali w Tryeście, postanowiła, nowo utworzoną gałęź zabezpieczenia przeciw szkodom przez

gradobicie

wyrażonym, także w kraju naszym zaprowadzić i zabezpieczenia tego rodzaju od nadchodzącej wiosny począwszy — udzielać.

Zabezpieczenie przeciw gradobiciom za opłatą stałych premii pod zaręczeniem bezzwłocznego całkowitego wynagrodzenia szkód towarzystwo udzielać będzie.

Premie (procenta) wymierzono na podstawie wielu co do przedmiotu zebranych statystycznych wiadomości, z zastosowaniem, do niebezpieczeństw które towarzystwo podejmuje, wszelakoż

z uwzględnieniem jakości ziemiopłodów

**ich mniej lub więcej prawdopodobnego podpadania
zniszczeniu przez gradobicie,**

jakoteż i okolic w których gradobicia częściej się pojawiają. Ułożono zarazem warunki zabezpieczenia na słusznej i sprawiedliwej podstawie, tak: że takowe każdemu łatwo przystępnem — a stronom udział mającym w razie klęski niezaprzeczonem dobrodziejstwem okazać się może.

Wziętość, którą towarzystwo Assicurazioni generali w roku 1831 zawiązało w gałęziach zabezpieczenia na przeżycie i dożywocie, i assekuracji ogniowej, tak w naszym, jako też we wszystkich krajach c. k. monarchii i za granicą szczyć się może; które bilansem z końcem 1832 roku ogłoszonym fundusz zaręczający przeszło

dziesięć milionów złr. w monecie konwenc.

okazało, przedstawia nam zaszczytną rękojme, iż nowo utworzony wydział zabezpieczenia od gradobicia w naszej publiczności należyte uwzględnionym, a przez panów P. T. właścicieli dóbr ziemskich, dzierżawców i resztę gospodarzy wiejskich licznie poszukiwanym będzie.

Do udzielania potrzebnego objaśnienia i doręczania wniosków do zabezpieczenia poleca się:

Imieniem c. k. uprzyw. towarzystwa „Assicurazioni Generali,,

Lwów, w kwietniu 1854.

Eugeniusz Richelli,

Ajent generałny.

Biuro: przy placu Ferdynanda pod liczbą 310.342.

Po wszystkich większych miastach krajów koronnych Galicyi, Krakowa i Bukowiny mianowano agentów, którzy zażądane objaśnienia dawać, wnioski do zabezpieczenia przyjmować i z doręczeniem odpowiednich formularzy wszelkich możliwych ułatwień udzielać mają.

PODPISANA

REPREZENTACJA DLA GALICYI

C. K. UPRZYW. TRYESTYNSKIEJ

AZIENDA ASSICURATRICE

WE LWOWIE,

ZABEZPIECZA RÓWNIE JAK W ZESZŁYM ROKU

SZKODY NA ZIEMIOPŁODACH

PRZEZ

GRADOBICIE

WYRZĄDZONE,

bézpośrednio w biurze przy ulicy pojezuickiej, naprzeciw hotelu angielskiego pod liczbą 175³/₄ lub też przez jej agentów na prowincyi w dwojaki sposób:

- A) Na podstawie funduszu Towarzystwa, t. j. **wypłacając** zabezpieczonemu całkowitą **szkodę** zabezpieczoną;
- B) na zasadzie wzajemnego zabezpieczenia, t. j. **szkody** wypłacają się w miarę **wpłynionych** za zabezpieczenia **premiów**.

O ile komu dogodniej, można podług A) lub B) **żądać** zabezpieczenia.

Taž sama **reprezentacja**, jakotež jej agenci na prowincyi udzielają **żadającym** zabezpieczenia potrzebne wyjaśnienia i blankiety do podań **bezpłatnie**.

Na listowne podania **szanownych stron** odpowiada **reprezentacja** oznajmieniem premii, za której przesłaniem pod jej powyżej wyrażoną adresą udziela się zabezpieczenie od najbliższej 12tej godziny południowej **po odebraniu** przesłanej premii.

Listowne podania zawierac mają najprzód odpowiedź na następujące pytania w ogólności:

- 1) nazwę miejsca, t. j. miasta, miasteczka lub wsi;
- 2) jak dawno zabezpieczenie **żadający** w miejscu zamieszkały;
- 3) czyli można z **pewnością** **podać**, jak często wydarzały się w okręgu tego miasta gradobicia **uszkodzające** ziemioplody, a przynajmniej, jak często w upłynionych ostatnich ośmiu latach;
- 4) czyli sam **poniósł** w teje wsi pomienioną **szkodę**;
- 5) czyli teraz mające się zabezpieczyć ziemioplody już **może** zostały gradobiciem, mrozami lub innym sposobem **uszkodzone**.

Co do kawałków pól w szczególności:

- 1) Nazwę kawałka pola, na którym zabezpieczyć się mający gatunek ziemioplodu, o ile ta nazwa znana jest zamieszkałym w miejscu, i opis granic tego pola tak, ażeby niezachodziła żadna wątpliwość co do innych pól lub kawałków. Mały planik piórem — po prostu może najlepiej zastąpić opis wiele czasu zabierający.
- 2) Ilość morgów i korcy wysiewu z nazwą gatunku ziemioplodu.
- 3) Wartość pieniężną spodziewanego zbioru w monecie konwencyjnej i w liczbach kończących się na zero.

We Lwowie, w kwietniu 1854.

1szy Sekretarz:

Leon Ostrowski.

2gi Sekretarz:

Konstanty Wodecki.